

ALEKSANDER ACHMATOWICZ
(Warszawa)

WILNO W LATACH WOJNY I OKUPACJI W PAMIĘCI I WEDŁUG BADAŃ ŹRÓDŁOWYCH

W związku z książką Stanisławy Lewandowskiej, *Życie codzienne Wilna w latach II wojny światowej*, Warszawa 1997, ss. 368, Wydawnictwo Neriton, Instytut Historii PAN

Dzieje Wilna w latach drugiej wojny światowej to często i szybko, jak mało wówczas gdzie, zmieniający się kalejdoskop wydarzeń i sytuacji miasta i jego regionu.

W następstwie klęski we wrześniu 1939 r. nad obszarem II Rzeczypospolitej, jak zwykle się mówić, zapadła czarna noc okupacji. Wszakże w zachodniej części przedwojennej Wileńszczyzny podczas tej nocy rozgrywał się swoisty okupacyjny spektakl w wielu odsłonach. Z punktu widzenia mieszkańców Wilna było to pięć kolejnych okupacji, w tym aż trzy sowieckie. W pamięci każda zachowała się jako, pod różnymi względami, odmienna: za każdym razem inaczej wyglądała aprowizacja, inaczej — represje okupanta. Na swój sposób życie w ówczesnym Wilnie było nawet urozmaicone, co nie znaczy, by należało zazdrościć wilnianom ich sytuacji. Niczym w anegdocie z cyklu odpowiedzi radia Erewań: „Czy po ostatniej zmianie władzy będzie w końcu lepiej? — To niemożliwe, więc lepiej nie będzie. Lepiej już było”.

Poniższe uwagi pozostają w bezpośrednim związku z opracowaniem Stanisławy Lewandowskiej *Życie codzienne Wilna w latach II wojny światowej*. Pierwsza uwaga, jaka mi się nasunęła po zapoznaniu się ze spisem rozdziałów, dotyczy struktury dzieła. Dziejopisowi nieuchronnie sama narzuca się koncepcja napisania o tym mieście tamtego czasu według następujących po sobie okupacji jako zamkniętych części, lecz stan ich poznania naukowego wciąż pozostaje niejednakowy. Najwszechstronnej, dzięki dorobkowi badawczemu Piotra Łossowskiego, znane są „czasy litewskie”: od 28 X 1939 do 15 VI 1940. Z kolei „czasy niemieckie” są bliżej poznane w paru ważnych, lecz tylko wybranych wątkach — głównie Holocaust Żydów i epopea Armii Krajowej wraz z udziałem jej sił w operacji „Ostra Brama” (lipiec 1944). Najmniej spenetrowane naukowo pozostają okupacje sowieckie. I oto w tym wypadku Autorka, może dlatego, że w archiwach badała problematykę społeczną miasta, obrała metodę ukazania tych właśnie wątków w przekroju kolejnych okupacji. Przekrojowe ujęcie poszczególnych kwestii, jeżeli tylko Autorka zgromadziła materiały do nich, prowadzone jest od początków „czasów litewskich”, czyli z pominięciem pierwszej okupacji sowieckiej, do końca okupacji niemieckiej, inaczej — od 28 X 1939 do początków lipca 1944 r. Nie znaczy to, iż Lewandowska pominęła tak pierwszą, jak i trzecią sowiecką okupację. Dzieło ma następującą strukturę.

Część pierwsza (rozdz. „Władza i wojsko — ich oblicza”, s. 12–71) przedstawia w jednym ciągu kolejne zmiany okupantów jako zwrotne momenty w dziejach Wilna czasów wojny. Autorka opisuje zawładnięcie przez nowego okupanta miastem i regionem — w wyniku walki lub inwazji (jedynym wyjątkiem są Litwini, którym rząd sowiecki przekazał cały region na mocy zawartego układu), zetknięcie się nowego okupanta z miejscową ludnością, zastosowane represje i zainstalowanie się nowej władzy, stosunek wilnian do niej. Ze względu na przejściowość i krótkie trwanie (od 19 IX do 27 X 1939) pierwsza sowiecka okupacja została w całości pokazana w tej części.

Część druga (rozdz. „Divide et impera”, s. 72–171) poświęcona jest wojennej powszedniości Wilna od czasów litewskich do końca okupacji niemieckiej. To w tej części znalazła się problematyka

społeczno-gospodarcza Wilna lat wojny, której obraz Autorka wzbogaciła danymi zebranymi podczas kwerendy w archiwach wileńskich i warszawskich. Tematy rozdziału to: aprowizacja miasta, warunki mieszkaniowe, opieka społeczna świadczona przez litewski magistrat i pomoc zagraniczna dla uchodźców wojennych, także wysiłki polskich organizacji charytatywnych, dopóki były one tolerowane przez władzę.

Uwaga Autorki skupia się na sytuacji życiowej wilnian, przy czym Żydom, ze względu na ich straszliwy los podczas okupacji niemieckiej, poświęcony jest osobny podrozdział: „Dramat Żydów wileńskich”, w którym przedstawiony został Holocaust. Poza jedną wzmianką w związku z kwestią mieszkaniową Lewandowska pominęła problematykę elementów napływowych, czyli personelu okupacyjnej administracji: Litwinów, Sowieców i Niemców. Przenosili się oni do Wilna całymi rodzinami, ale w momencie upadku okupacji uciekali z niego (Litwini dopiero wraz z Niemcami), często porzucając mienie osobiste. W różnych miejscach dzieła Autorka zajmuje się bliżej uchodźcami wojennymi z Polski centralnej jako odrębną grupą Polaków, z tym że do czasu nastania okupacji niemieckiej byli nimi również Żydzi. Nie stworzyła jednak jasnego obrazu perypetii tych ludzi.

Najwięcej o sytuacji uchodźców w Wilnie czytelnik dowiaduje się w rozdziale o „czasach litewskich”; tam też znajdują się najbardziej wiarygodne dane statystyczne. Uchodźcy sprawiali Litwinom kłopot, gdyż wzmacniali polskie elementy ludności miejscowej, toteż władze nakłaniały ich do wyjazdów na stały pobyt na Litwie kowieńskiej. Opis tego przypadku można nawet pojąć tak, że Litwini dopięli swego. Trzeba więc ten wątek książki uzupełnić. Kwestia była nabrzmiała nie tylko w Wilnie, ale i pod sowiecką okupacją, chociażby we Lwowie. Wiosną 1940 r. Niemcy i Sowieci negocjowali kwestię ewentualnego powrotu uchodźców do miejsca zamieszkania, a więc i wyjazdu do Generalnej Guberni. Na wyniku tych rokowań zaciążył, jak się zdaje, fakt, że Żydzi stanowili duży procent tej grupy. W maju lub w początku czerwca 1940 r. negocjacje zakończyły się fiaskiem, gdyż Niemcy nie zgodzili się na otwarcie dla nich granicy. Sowieci deportowali więc znaczną część uchodźców w głąb ZSRR na przełomie czerwca i lipca (trzecia deportacja z Kresów; Litwy i Wileńszczyzny nie objęła).

Negatywny stosunek Niemców do repatriacji uchodźców rozciągał się naturalnie na tych, którzy schronili się w Wilnie i przebywali wówczas na terytorium jeszcze niepodległej Litwy. Niektórzy wysyłali listy do rządu GG w Krakowie z prośbą o zgodę na powrót do domu w Polsce centralnej i zachodniej, lecz z urzędu Hansa Fraka (w przypadkach mi znanych) nadchodziły jedynie odmowne odpowiedzi. Wielu uchodźców, zwłaszcza na obszarze Litwy kowieńskiej, Sowieci deportowali w czerwcu 1941 r. (wg polskiej terminologii deportacja czwarta). Jednak i potem w samym Wilnie pozostawało ich jeszcze bynajmniej немало. Zamęt, jaki powstał w czerwcu 1940 r. skutkiem upadku smetonowskiej Litwy i wkroczenia Armii Czerwonej, spowodował, że co odważniejsi i gotowi na ryzyko (nie tylko uchodźcy, ale i osoby zagrożone aresztowaniem przez NKWD) usiłowali uciec na obszar niemieckiej okupacji przez „zieloną granicę”. Udało się to nielicznym, gdyż w sierpniu było to już wręcz niemożliwe: opłaceni przewodnicy wyprowadzali swoich klientów w zasadzki sowieckich pograniczników.

Negatywne nastawienie rządu GG do uchodźców zelżało podczas okupacji niemieckiej Wilna i pewna liczba rodzin, głównie uchodźcy wrześniowi, wyjechali legalnie z Ostlandu do GG pociągami. Wiadomo mi o trzech takich rodzinach (9 osób), które wyjeżdżały z Wilna zimą 1943–1944. Ostatecznie kwestia uchodźców z 1939 r. została w Wilnie rozwiązana w toku repatriacji polskiej ludności na obszar Polski Lubelskiej w latach 1945–1946. W przypadku tych ludzi to, co nazywano oficjalnie ewakuacją, było rzeczywiście repatriacją.

Dodać należy, że w tym rozdziale Lewandowska sygnalizuje także urbanistyczny rozwój Wilna w owym czasie dzięki wysiłkom litewskich władz magistrackich. Za drugiej okupacji sowieckiej przeprowadzono urbanistyczną regulację śródmieścia m.in. nadano Placowi Katedralnemu jego obecną postać.

Wreszcie część (rozdział) trzecia „Niepogodzeni z niewolą” (s. 172–302) jest poświęcona polskiemu ruchowi oporu i martyrologii wilnian. Kolejne jej podrozdziały dotyczą nielegalnego nauczania (komplety szkolne za drugiej okupacji sowieckiej i niemieckiej; w uszczuplonym zakresie, ograniczone do przedmiotów nie uwzględnianych w sowieckiej szkole, kontynuowane były w formie prywatnych lekcji również za trzeciej sowieckiej okupacji już bez związku z Polskim Państwem

Podziemnym), życia teatralnego i muzycznego w mieście, prasy polskiej za czasów litewskich („Kurier Wileński” i „Gazeta Codzienna”) i okupacyjnych gadzinówek (za drugiej okupacji sowieckiej „Prawda Wileńska”, wznowiona w lipcu 1944 r. i za okupacji niemieckiej „Goniec Codzienny”, Autorka nietrafnie określa „Prawdę Wileńską” jako promoskiewski periodyk (s. 322), może dlatego, że zamieszczali w niej swoje teksty polscy autorzy np. Leopold Tyrmand).

W ostatnim, siódmym podrozdziale rozdziału trzeciego („Z nadzieją transportów ściętą łoskotem”) mowa jest o walkach o Wilno w 1944 r., o udziale w nich Armii Krajowej i o tym, co stało się z ludnością miasta w toku trzeciej sowieckiej okupacji (po 13 VII 1944). Nie ma tu nacięgo o powszedniości i życiu codziennym wilnian, a więc także o całym kompleksie społeczno-gospodarczym. Głównym wątkiem rozdziału jest polityka represyjna sowieckich władz wobec wilnian, drugim — ekspatriacja ludności. Represje NKGB (wyodrębniona z NKWD bezpieczeństwa sensu stricto) przebiegały dwutorowo: 1° przeciwko Armii Krajowej i siatce polskiej konspiracji (zaczęły się one wraz z internowaniem uczestników lipcowej epopei, zaś po ich deportacji były kontynuowane przeciwko niedobitkom i odtwarzającej się konspiracji); 2° przeciwko „kolaborantom” z okupantami niemieckimi (te drugie zaczęły się nieco później i przebiegały własnym rytmem). Na miano kolaborantów zasługiwali przede wszystkim ci spośród Litwinów, którzy za okupacji niemieckiej byli gorliwymi prześladowcami Polaków i uczestniczyli w Holocauście. Skądinąd byli to ci sami ludzie, którzy jako urzędnicy szarogęsili się za Litwy smetonowskiej, a po jej upadku gorliwie służyli Sowietom także w NKWD. Skoro jednak uciekli, i to co do jednego, razem z wycofującymi się Niemcami, więc jesienią 1944 r. NKGB tropiło „kolaborantów” wśród pozostałej ludności, czyli wśród Polaków. Konkretnie powody aresztowań były naciągane i to tak dalece, że, jak głosiła nie dająca się sprawdzić fama, wystarczyło mieć w swojej kolekcji znaczki pocztowe Ostlandu i GG z podobizną Adolfa Hitlera, by zostać oskarżonym co najmniej o profaszystowskie sympatie lub wręcz o „kolaborację”.

Sowieci szybko zorientowali się, że masowe aresztowania w połączeniu z „kottami”, czyli zasadzkami NKGB w prywatnych mieszkaniach, tak bardzo zamieniły wilnianom życie w koszmar (o „kottach” — s. 314), iż stały się skuteczną metodą nacisku skłaniającą do ucieczki z Wilna za wszelką cenę. Legalną możliwość opuszczenia miasta stwarzała zapowiedziana już we wrześniu 1944 r. repatriacja, czyli przesiedlenie się na stałe do Polski Lubelskiej, a więc de facto ekspatriacja rdzennych wilnian. Lewandowska pisze, że po mowie Winstona Churchilla w Izbie Gmin (15 grudnia) kierownictwo podziemia wręcz zaleciło ogółowi wilnian wyjazd (s. 316). Potem jednak zaczęły odchodzić kolejne transporty (w stosunku do deportacji w czerwcu 1941 r. różnica polegała przede wszystkim na tym, że ich pasażerów nie wywlekano z domów jako aresztowanych i że transportów nie konwojował nikt z bronią w ręce), władze sowieckie zaczęły się wahać, co i rusz czyniły, o czym Lewandowska wzmiankuje, ograniczenia i szykany. Szkoda, że Autorka nie wymieniła jednej z nich szczególnie wymownej: latem 1945 r. pod pretekstem troski o wyniki zbiorów z pól uniemożliwiono wyjazdy chłopom, chociaż mieli już wszystko załatwione; potem musieli pozostać na miejscu.

W „Epilogu” Autorka powtarza obszerne fragmenty *Kroniki Wileńskiej. Z dziejów Podziemnego Państwa Polskiego 1941–45* Longina Tomaszewskiego (Warszawa 1992). Byłoby lepiej, gdyby sama napisała zakończenie własne, gdyż taka długa, znana już czytelnikowi kronika jest w tej roli tylko paliatywem. Wspomniany przypadek potraktowania przez władze sowieckie chłopów z Wileńszczyzny w toku procesu ewakuacyjno-repatriacyjnego jest w książce wyjątkiem, ponieważ Autorka zawęziła temat dzieła do samego miasta Wilna. Pominięcie reszty Kraju Wileńskiego uznać należy za słaby punkt tego opracowania. Wojenne losy ludności miasta i wsi regionu były jeżeli nie wspólne, to bardzo zbieżne. Skutkiem zaś stworzonej w ten sposób luki często nie wiadomo, czy podawane przez Autorkę liczby dotyczą samego Wilna, czy też miasta i reszty Kraju Wileńskiego (zachodnia część przedwojennego województwa wileńskiego przejęta przez Litwinów w końcu października 1939 r.).

Mimo wszystkich tych krytycznych uwag należy podkreślić, iż w swój wysiłek badawczy i w napisanie książki Stanisława Lewandowska włożyła najlepsze uczucia, co daje się wyczuć w toku lektury. Co więcej, umie ona wnikliwie i głęboko wysondować nastawienia wilnian i rozumie ich postawy i zachowanie w tamtych trudnych i ciężkich latach okupacyjnych. W swej istotnej substancji były one bez wątpienia patriotyczne. Lewandowska spogląda na Wilno i jego mieszkańców własnymi oczyma i tym, co pisze, broni ich dobrego imienia. Można jednak przewidywać, że znajdują się

narodowi katoni, którzy zechcą to zakwestionować, a takie lub inne postęпки wilnian uzrają za naganne lub wręcz przekraczające dopuszczalne dla Polaków granice.

Zilustrować to można, biorąc pod lupę publiczne występy wybitnego polskiego pianisty Stanisława Szpinalskiego nie tylko za drugiej okupacji sowieckiej, o czym Lewandowska pisze (s. 265–269, przyp. na s. 270), ale i za okupacji niemieckiej. W pamięci mam jego recital wiosną 1944 r. w sali teatru na Pohulance, na którym wśród tłumnie przybyłych polskich melomanów widać było wcale niemało niemieckich oficerów z wojskowych instytucji okupanta. Nie znaczy to, że Szpinalski „koncertował dla Niemców”, jakkolwiek w czasie recitalu nie wykonał ani jednego utworu polskiego. Jego muzyka, jego publiczny występ w kontekście stosunków z Litwinami były potrzebne samym wilnianom jako demonstracja polskiego potencjału kulturalnego, jaki reprezentują. Zaś co do repertuaru polskiego, to w odstepie paru dni (wcześniej czy później — tu pamięć zawodzi) Szpinalski grał same utwory polskie dla ścisłego grona zaproszonych gości w prywatnym mieszkaniu nauczycielki muzyki pani Marii Dąbrowskiej przy ulicy Piekielekko.

Postawy wilnian nie były monolitem, nie brakowało bowiem w Wilnie i na Wileńszczyźnie m.in. szmalcowników żerujących nie tylko na ukrywających się Żydach, lecz także na osobach słabych i bezradnych wobec losu, np. pod pretekstem, że ich nazwisko figuruje na liście Arbeitsamtu obejmującej ludzi wysyłanych na roboty do Niemiec.

Wypada przejść do najważniejszych uwag krytycznych w bardziej systematycznym ich porządku. We wrześniu 1939 r. opór sowieckiemu najeźdźcy stawiały na ulicach Wilna grupki zapóźnionych z odejściem na Litwę żołnierzy i młodzieży harcercskiej, PW i strzelca. Działo się to w godzinach nocnych z 18 na 19 września, potem, od rana dziewiętnastego miasto znajdowało się już niepodzielnie w rękach Sowietów. Lewandowska bezkrytycznie zapożyczyła od Dariusza Ratajczaka historyjkę o rzekomych polskich akcjach bojowych na ulicach miasta jeszcze w dniach 19–22 września, w dodatku w samym sercu Wilna: „patrol 1 KS [!]” — pisze — miał przejść Zygmuntofską, Arsenalską, Placem Teatralnym (sic! — chyba Katedralnym), u wylotu Zamkowej, a potem Skopówką i Wileńską wycofał się przez Zielony Most. W strzelaninie — czytamy — załamywały się natarcia sowieckie, a dwa czołgi Armii Czerwonej utknęły w Wilii. Sprostuję: nie dwa czołgi, lecz jeden i stało się to tej jedynej nocy z 18 na 19 września. Ponadto według Autorki dopiero w piątek, 22 września dwa polskie bataliony zapasu (! — skąd mogły się one tam wtedy wziąć?) otrzymały rozkaz (od kogo?) oderwania się od nieprzyjaciela.

Piękna heroiczna opowieść, tyle że nikt i nic jej nie potwierdza, także najbardziej w tej chwili kompetentny znawca epopei wrześniowej od Wschodu — do niedawna ogłaszający swe dzieła jako Karol Liszewski, obecnie sygnujący je własnym nazwiskiem — Ryszard Szawłowski. Również Ratajczakowi zawdzięcza Autorka wątpliwą informację o „wkroczeniu Armii Czerwonej do Wilna”; wkroczeniu, a więc z całą pompą i paradą triumfu przed obliczem wysokiego rangą dowódcy. W czasie całej wojny tylko Litwini, do czego mieli własne, szczególnie powody, wkraczali w taki sposób do miasta w dniu 28 X 1939. Dla Sowietów Wilno było tylko punktem na mapie. Choć w toku wojny zajmowali je trzykrotnie, ani razu nie bawili się w takie ceremonie. Co innego, że przez miasto przejeżdżały pojedyncze kolumny ich jazdy, opancerzonych samochodów itp. Piechoty sowieckiej wśród tych wojsk na ulicach nie widywano. Chodziło o demonstrację: Armia Czerwona chciała zabłysnąć przed ludnością technicznym wyposażeniem, nowoczesnością, a więc również siłą. I rzeczywiście — na gapiach robiło to wrażenie.

Sugerowane przez Ratajczaka demonstracyjne, prosowieckie zachowanie się młodzieży żydowskiej (u Lewandowskiej s. 195) mogło mieć miejsce, ale jako lokalna, doraźna improwizacja. Tego rodzaju jej zachowanie się (do białych koszul i bluzek poprzipinane czerwone kokardki — uniform komsomolców) przypadło na zupełnie inne wydarzenie i w innym czasie: w niedzielę 7 VII 1940 młodzież ta przechodziła po wiecach zorganizowanymi kolumnami główną ulicą Wilna, potrząsając w powietrzu zaciśniętymi pięściami, skandowaniem i okrzykami domagając się włączenia Litwy w skład ZSRR.

Wracajmy do wypadków z września 1939 r. Lewandowska stwierdza na s. 18, że „niebawem” po zajęciu Wilna przez Armię Czerwoną do gmachu sądu przy ulicy Mickiewicza wprowadziło się NKWD. O tym jednak nawet mowy być nie mogło: strukturalne ogniwa tych „organów” Sowievi utworzyli na okupowanych ziemiach wschodnich Polski dopiero po formalnym wcieleniu ich do

Białoruskiej i Ukraińskiej SRR — w listopadzie, kiedy Wilno było już w granicach Litwy, której odstąpił je rząd sowiecki. Wilnian ominęły sławetne wybory do Zgromadzenia Ludowego Białorusi Zachodniej, które zebrało się w Białymstoku w dniu 28 października, czyli dokładnie tego dnia, kiedy ulicami Wilna paradowało wojsko litewskie. Do tego momentu w mieście funkcjonował jedynie wspomniany Zarząd Tymczasowy Obwodu Wileńskiego.

Ten przejściowy twór (ZTOW) został utworzony na przełomie września i października. Należy wiedzieć, w jakim trybie to nastąpiło.

Na tydzień z górą przed inwazją na wschodnie ziemie polskie, Beria — dowiedziawszy się zapewne o przedwcześnie upowszechnionej przez Niemców informacji o rzekomym zajęciu przez Wehrmacht Warszawy — wydał, bez wątpienia za wiedzą Stalina, rozkaz nr 001064 „O przedsięwzięciach operacyjnych w ramach szkolenia na obozach letnich” (ros. „uczebnyje sbory”). Powołał w nim tzw. grupy operacyjne czekistów: cztery na odcinku białoruskim i pięć na ukraińskim. O inwazji na Polskę jeszcze nie było w rozkazy mowy. Lecz 15 września również Beria podpisał dyrektywę NKWD „O organizacji roboty w wyzwolonych regionach zachodnich obwodów Ukrainy i Białorusi”. Jeżeli ktoś miał jeszcze złudzenia, to się teraz od nich całkowicie uwolnił.

Dokumentacja ta znana jest od niedawna, dzięki opublikowaniu w Moskwie pierwszego tomu zbioru materiałów z archiwum Federalnych Służb Kontrwywiadu (a więc także akt NKWD z 1939 r.) pt. *Organy Gosudarstwennoj Biezopasnosti SSSR w Wielikoj Oticzestwiennoj wojnie. Sbornik dokumentow*. W pierwszym tomie pt. *Nakanunie* (W przededniu) dokumentacja dotyczy okresu poprzedzającego napaść niemiecką w dniu 22 VI 1941, ale od czasów po ugodzie monachijskiej — od listopada 1938 r. (cz. 1, s. 70–73 i 79–81).

Beria następująco określił zadania grup czekistów: zapewnienie bezpieczeństwa własnej armii na zajmowanych ziemiach, zaprowadzenie porządku wśród ludności, obsadzenie obiektów państwowych, a zwłaszcza radiostacji, telefonów i telegrafu, poczty, urzędów państwowych, banków, drukarni, lokali redakcji gazet i archiwów. Czekiści mieli aresztować „reakcyjnych przedstawicieli administracji, sił porządkowych, wysokich urzędników państwowych, przywódców stronnictw politycznych” itd.

Grupy operacyjne składały się każda z pięćdziesięciu paru osób. Prawdopodobnie tu i ówdzie wyszły one przed właściwe kolumny armii sowieckiej, czemu polski KOP nie mógł przeszkodzić, jako że jego strażnice zostały już nad ranem 17 września zniszczone lub związane walką.

W zarządzeniu Berii akcent położony jest na ścisłe współdziałanie grup operacyjnych z wojskiem, co nasuwa myśl, że tu i ówdzie czekicści z ich składu uczestniczyli w inscenizowaniu „radosnego” witania Armii Czerwonej przez ludność, a także inspirowali „plebejską rewolucję” przeciwko „polskim panom”. Nie da się też wykluczyć ich udziału w dywersjach na głębszym zapleczu granicy od strony polskiej. Na pewno szybko obrastając świeżo objawionymi aktywistami spośród miejscowej ludności, sporządzali z ich pomocą pierwsze listy proskrypcyjne i według nich dokonywali aresztowań. Po paru dniach z głębi USRR i BSRR zaczęły przyjeżdżać całe grupy funkcjonariuszy partyjnych, komсомolskich i dodatkowe kontyngenty czekistów–enkawudzystów. W końcu września zjawili się wreszcie zaufani „towarzysze”, wytypowani już na najwyższym szczeblu na kierownicze stanowiska.

Krótką, bo paratygodniową, stojącą pod znakiem przejściowości pierwsza sowiecka okupacja Wilna zaznaczyła się rabunkiem i wywozem polskiego mienia publicznego (z archiwaliami włącznie) oraz aresztowaniami. Po zapadnięciu decyzji o odstąpieniu regionu wileńskiego Litwie deportowano uwięzionych w głąb Białoruskiej SRR, co oznaczało, iż już także do Białegostoku. Źródła podają różne liczby ofiar tych represji. Lewandowska powołuje się na dane opublikowane przez Litwinów i Niemców w latach 1941–1944 (przyp. 34 na s. 20 i 21–24). Wygląda na to, że w samym Wilnie aresztowania objęły dużo mniej niż 1 000 osób. Za następnymi „czasów litewskich” na pierwszym planie były już inne metody niż represje w postępowaniu z nielitewskojęzyczną ludnością — w swej formie bardziej „dobite”. Lewandowska pisze o nich wystarczająco dużo i ich obraz jest klarowny i wymowny; niczego nie trzeba dodawać.

Obraz ofiar represji spośród mieszkańców Wilna za drugiej okupacji sowieckiej (od 15 VI 1940 do 23 VI 1941) w książce Lewandowskiej jest niestety mało przejrzyste. Po części bierze się to stąd, że sowieckie statystyki nie wyodrębniają wilnian jako osobnej kategorii mieszkańców Litwy. Wszy-

stkie próby ekstrapolacji danych w tej mierze dają tylko przybliżone wielkości. Lecz nieklarowność ta została też zawiniona, i to w dużym stopniu, przez Autorkę, która, skrupulatnie odnotowując znane sobie dane o represjach NKWD, nie zaopatruje liczb we własny, krytyczny komentarz. Pozostają więc tylko surowym materiałem.

W jednym wypadku Lewandowską zawiodła intuicja. Na s. 50 stwierdza ona, że w początkach drugiej okupacji sowieckiej NKWD nie przeprowadzało większych aresztowań, te zaś, jakie miały miejsce w lipcu i sierpniu 1940 r. „dotyczyły pojedynczych osób”. Słowa tę Autorka powtarza za Tomaszewskim (*Kronika Wileńska 1939–1941*, Warszawa 1989, s. 99). W rzeczywistości akurat w tym wypadku było całkiem inaczej. Tomaszewski pisze powyższe w kontekście samej tylko polskiej konspiracji, która w tamtym okresie nie poniosła dotkliwszych strat. Odmienne cała ludność. A przecież Lewandowska zajmuje się nie samymi konspiratorami, ale ogółem wilnian. Dwie strony dalej Autorka zamieściła tabelę dziennych kontyngentów aresztowań poczynionych przez litewski Wydział Bezpieczeństwa Państwa (lit. Valstybinis Saugumo Departmentas — sauguma) od listopada 1939 do lipca 1940 r. włącznie, czyli i za Smetony, i bezpośrednio po upadku niepodległej Litwy. Wśród zamieszania na tym tle sauguma przeszła w gestię NKWD, a jej nowym szefem został Antanas Sniecckus — naczelny funkcjonariusz nielegalnej dotąd Komunistycznej Partii Litwy i dyspozycyjny człowiek Moskwy; wraz z jego nastaniem w saugumie zaroilo się od sowieckich czekistów. Jednak przed formalnym zaistnieniem Litewskiej SRR jako części składowej Związku Sowieckiego, starali się oni nie afiszować, aresztowań dokonywali za pomocą umundurowanych litewskich policjantów.

We wzmiankowanej tabeli od daty 15 czerwca przez szereg dni nie widnieją dane o liczbie aresztowanych (15 czerwca Armia Czerwona zajęła Litwę, Smetona uciekł z kraju, ten zaś chwilowo pogrążył się w zamieszaniu). Pierwsze aresztowania w Wilnie odnotowane są w dniu 10 lipca — 15 osób, ale już 11 lipca ich plon jest tak wielki, jak nigdy przedtem ani potem — 96 osób, nazajutrz doszły jeszcze 42. O tym, czym była ta operacja saugumy, a właściwie NKWD, można dowiedzieć się z zarządzenia wewnętrznego z dnia 7 VII 1940 Sniecckusa już jako jej szefa. Ścisłe tajne zarządzenie ma tytuł: „Plan przygotowań likwidacyjnych i likwidacji operacyjnej czołowych osobistości partii antypaństwowych...”; dalej wymieniono wszystkie litewskie stronnictwa.

Zarządzenie rozpoczyna się od słów: „Operacja będzie przeprowadzona w całej Litwie w nocy z 11 na 12 lipca 1940 r.” „W całej Litwie”, a więc również w Wilnie i Kraju Wileńskim. Sniecckus polecił dokonać uaktualnienia do 10 lipca posiadanej przez saugumę ewidencji, zarówno danych personalnych, jak i adresów. Litewskich osobistości politycznych w owym momencie w Wilnie prawie nie było, gdyż — chociaż traktowano to miasto jako stolicę państwa — nie kwapiono się z przeprowadzką do niej. Nie trudno więc wyobrazić sobie, że w Wilnie sauguma na żer NKWD wystawiła polskie osobistości. („Plan” Sniecckusa w reprodukcji facsimile i jego angielski przekład w: „Lithuanian Bulletin” 1945, 7–8, July — August, s. 10 i 11, dalej: LB).

To przedsięwzięcie represyjne było uwarunkowane faktem, że w dniu 14 lipca miały odbyć się wybory do sławetnego Sejmu Ludowego (odpowiednik Ludowych Zgromadzeń we Lwowie i Białymstoku z października 1939 r.). Nie chodziło więc bynajmniej o aresztowanie „pojedynczych osób”, lecz o sterroryzowanie już na wstępie nowej okupacji ludności Wilna i regionu, i nie tylko na dzień wyborów; tak samo w wypadku Litwy jako całości, gdzie teje nocy NKWD aresztowało ponad 2 000 osób. Zapewne NKWD utwierdziło się wówczas w przekonaniu, że zamierzony cel osiągnięto. Jednak wątpliwe, by owe wybory mogły stać się wówczas dla Polaków na Wileńszczyźnie pretekstem do jakiejś demonstracji. A po takim „willkommen”, czyli „należytych potraktowaniu na powitanie” wilnian, NKWD dysponujące już ludźmi i kancelarią saugumy mogło w spokoju ducha przystąpić do operacyjnego rozpracowania polskiej konspiracji. Podobnie jak Tomaszewski, Lewandowska powołuje się na LB, wszakże oboje przeoczyli w nim zarządzenie Sniecckusa.

Masowe represje, we właściwym znaczeniu słowa, nastąpiły dopiero w niecały rok potem w postaci deportacji w głąb ZSRR w połowie czerwca 1941 roku. Lewandowska przytacza bardzo wiele danych o deportowanych, w tym uzyskane na zasadzie rejestracji ex post, bowiem za okupacji niemieckiej, przez Litewski Czerwony Krzyż. Rejestracja była zaledwie rozpoczęta, toteż przytoczone liczby dotyczące struktury deportowanych według różnych kryteriów są tylko próbka i to bynajmniej nie reprezentatywną; obejmuje ona zbyt małą część ofiar, np. w wypadku zsumowanych dziennych kontyngentów zabranych z mieszkań tylko 4 105 osób, natomiast w wypadku kilku innych

kategorii (wiek, płeć, zawód itd.) po 6 602. Liczby te mają się nijak do informacji, że „tylko w dniach od 14 do 19 czerwca 1941 roku wysłano z Nowej Wilejki na wschód łącznie 55 pociągów z 48 511 deportowanymi” (s. 55, według edycji Lietuvos Archyvas, *Bolševismo metai 1940–1941*, t. 2, bez podania miejsca i daty wydania — ustaliłem, że w Kownie 1942). Listę „55 transportów” z deportowanymi zamieścił także LB (1947, 7–8, reprodukcja facsimile s. 26, 28, 30, przekład ang. 27, 29, 31). W istocie rzeczy to jeszcze nie były transporty.

Datowany 13 VI 1941 ze wskazaniem czasu nadania — druga trzydzieści w nocy — telefonogram komdiwa Wasyla Czernyszowa, zastępcy narkoma NKWD w Moskwie i koordynatora osiedlenia deportowanych z trzech republik bałtyckich, z Mołdawii i wschodnich województw Rzeczypospolitej (w marcu–maju 1940 r. nadzorował z ramienia ścisłego kierownictwa NKWD rozstrzelanie polskich oficerów w Katyniu, Charkowie i Twerze), zaadresowany do bezpośrednich wykonawców na Litwie, Łotwie i Estonii Iwana Sierowa i Wiktora Abakumowa (adres kontaktowy — Ryga), zawiera dokładne dyspozycje centrali NKWD co do wielkości kontyngentów deportowanych, jakie należało wyładować na konkretnych stacjach kolejowych. Dyspozycja była potrzebna na stacjach w krajach bałtyckich, gdzie spinano wagony z deportowanymi w transporty w takiej kolejności, żeby uniknąć zbędnego manewrowania składami przy odczepianiu wagonów na stacji docelowej.

Instrukcja Sierowa co do sposobu załadowywania deportowanych do wagonów z 19 V 1940 jest również opublikowana w LB, więc wiadomo, że w tej deportacji norma załadowania wynosiła 25 osób (LB, 1946, 1, reprodukcja facsimile s. 34). Jeżeli według dyspozycji telefonogramu Czernyszowa należało na stację Karaganda dostarczyć 65 osób, to musiano przeznaczyć na to trzy wagony; w Karagandzie wszystkie je odczepiano i zostawiano, ale w tym celu musiały one w momencie wjazdu na tę stację znajdować się na przodzie lub z tyłu składu. Wymienione w telefonogramie stacje docelowe można znaleźć w sowieckich atlasach linii kolejowych — występują tam jako sąsiednie stacje na kilku tylko liniach. Jeżeli Czernyszow przewidywał np. wyładowanie na stacji w Bijsku 3 040 osób, wymagało to utworzenia bodaj aż trzech transportów po 55 wagonów z deportowanymi. Oznacza to, że liczba transportów mogła być znana dopiero po odprawieniu ich na Wschód. Toteż siłą rzeczy bliższe prawdy są spisy takowych Aleksandra Gurianowa (autor „Memoriału”), który przebadał w postsowieckich archiwach raporty wojsk konwojowych NKWD, pilotujących wszystkie takie pociągi.

Po kontrolnym zsumowaniu danych o deportowanych w telefonogramie Czernyszowa należy skorygować je in plus o 5 osób — do liczby 48 516. Wystosowany w nocy poprzedzającej początek operacji zawiera on tylko zatwierdzony przez centralę w Moskwie plan wielkości dostawy deportowanych do każdej stacji docelowej, a więc w rejonie miejsca ich przymusowego pobytu. Tamtejsze NKWD przejmowało swój kontyngent deportowanych i konwojowało deportowanych do miejscowości wyznaczonej na ten cel. Jednak kiedy telefonogram wysyłano, mogło być tak, że kolej jeszcze nie dostarczyła na stacje załadunku wszystkich zamówionych przez NKWD wagonów. Liczb, w telefonogramie należało przestrzegać, zaś w razie niedoboru tłumaczyć się z niego. Toteż 48 516 deportowanych należy traktować jako górny pułap ogólnej liczby wywożonych w deportacji czerwcowej 1941 r. z trzech republik bałtyckich. W telefonogramie Czernyszowa wymienia się 14 kontyngentów docelowych z Łotwy z 16 300 deportowanymi, 22 z Litwy z 21 114 i 19 z Estonii z 11 102 osobami. W telefonogramie nie wymienia się stacji załadunku i zdaje się, że w przypadku samej Litwy było ich więcej niż jedna Nowa Wilejka.

Wyniki badań Gurianowa w aktach wojsk konwojowych NKWD nie odbiegają za bardzo od danych z telefonogramu Czernyszowa: z Litwy 17 transportów z 17 501 osobami, z Łotwy 19 z 16 934 i z Estonii 10 z 8 451 razem 46 transportów z 42 886 deportowanymi (*Riepriesii protiv polakow i polskich graždan*, Moskwa 1997, s. 137–163, tabele z zestawieniami transportów s. 164–175). Gurianow stwierdza, że nie dysponuje danymi o dwóch transportach z Łotwy, ponieważ nie potwierdzono ich przybycia do stacji docelowej.

Spośród materiałów LB godne uwagi są jeszcze dwa: raport sztabu operacji deportacyjnej w Kownie datowany 19 czerwca o jej wynikach do tego dnia i spisana odręcznie tabela bez daty zawierająca wyniki operacji tegoż dnia w skali całej Litwy według wszystkich jej samodzielnych jednostek administracyjnych (powiaty i miasta stołeczne). Pierwszy z dokumentów stanowi cenny przyczynek do metodologii postępowania NKWD przy zabieraniu ludzi z domów (ros. izjatije)

i postępowania z nimi, podaje także zasady sporządzania wyników liczbowych całego przedsięwzięcia. W drugim wypadku otrzymujemy informacje o liczbie zabranych rodzin, aresztowanych, a więc przeznaczonych do osadzenia w więzieniu lub w łagrze (wskazują na to stacje docelowe i wielkości wiezionego kontyngentu — duże kontyngenty stanowili więźniowie i głowy rodzin odseparowani od żon i dzieci przed załadunkiem oraz wojskowi) lub do wysiedlenia, czyli do wywózki na osiedlenie w tzw. osadach specjalnych bez nadzoru strażników. Część ogólnego kontyngentu deportowanych (prostytutki, kryminaliści) pozostawała w gestii NKWD, przesiedleni i głowy rodzin, jako elementy polityczne, uwięzieni osobno, należeli do NKGB.

W raportach o wynikach operacji deportacyjnej w Kownie dwukrotnie są wzmiankowani uchodźcy wojenni, a więc pochodzący z Polski: w tabeli zaplanowanej liczby deportowanych z tego miasta — 63 rodziny, osób 73; w tabeli o wykonaniu odnotowano, że zabrano 64 osoby tej kategorii, z których 36 aresztowano, 28 przeznaczono do wysiedlenia, czyli deportacji.

Z tabeli liczby deportowanych z całej Litwy można dowiedzieć się, ile osób według NKGB deportowano z samego Wilna i z pozostałych dwóch powiatów Kraju Wileńskiego (Trocki i Święciański). Za „Gońcem Codziennym” z grudnia 1941 r. Lewandowska podaje jako liczbę deportowanych z samego Wilna — 2 012 osób. Natomiast według danych NKGB w powyżej omówionej tabeli w Wilnie zabrano z domów 1 238 rodzin — 2 085 osób (z nich 558 aresztowanych i 1 527 przeznaczonych do wysiedlenia). Razem z powiatami Kraju objęto deportacjami łącznie 1 607 rodzin, 3 257 osób. Ponieważ na całą Litwę zabrano wówczas 7 439 rodzin, to znaczy 17 485 osób (4 293 jako aresztowane, 12 562 do wysiedlenia), więc — jak nietrudno obliczyć — udział wilnian w deportacji z Litewskiej SRR wyniósł jedną szóstą.

Polskie szacunkowe obliczenia liczby deportowanych w toku czterech operacji NKWD z lat 1940–1941 (czwarta wspólnie z NKGB) są ogromnie wyolbrzymione. Sięgały nawet 1 miliona 800 tysięcy ludzi. Oparte były na relacjach samych ofiar i szacunkach delegatur ambasady w Kujbyszewie. Nie weryfikowano ich jednak z pomocą jakichś bardziej obiektywnych danych. Po upadku ZSRR wielkości te obniżono, ale nowe dane orzeczono arbitralnie na podstawie hipotetycznych szacunków — 1 080–1 200 tysięcy — które też są poważnie zawyżone. W dodatku uwzględnia się w tych oszacowaniach nie tylko deportowanych, ale również internowanych w 1939 r. wojskowych i policjantów, więźniów NKWD–NKGB i zmobilizowanych do Armii Czerwonej. Chodzi jednak nie o straty polskie na Wschodzie, lecz o liczbowe wyniki samych czterech deportacji.

Z dostępnych w tej chwili materiałów NKGB–NKWD nie można doliczyć się więcej niż 370 tysięcy deportowanych obywateli polskich, zabranych na obszarze, który przed 17 IX 1939 należał do państwa polskiego. Liczbę tę można trochę powiększyć o uchodźców wojennych z Polski centralnej i zachodniej, którzy zostali zabrani z obszarów Litwy Kowieńskiej, Łotwy, Estonii, Mołdawii i Bukowiny. Należy także doliczyć wywiezionych wtedy Polaków, którzy mieszkali tam przed wojną. W czerwcu 1941 r. deportacje w każdym z tych krajów odbyły się w nieco innych terminach: 22 maja na obszarze polskich województw południowo-wschodnich (Zachodnia Ukraina), w nocy z 12 na 13 czerwca w Mołdawii i w obwodach USRR między Dniestrem a deltą Dunaju, w nocy z 13 na 14 czerwca w trzech republikach bałtyckich i zachodniej Wileńszczyźnie, wreszcie w nocy z 19 na 20 czerwca w północno-wschodnich polskich województwach (Zachodnia Białoruś).

Po tej dygresji w kwestii deportacji trzeba wrócić do innych uwag dotyczących książki Stanisławy Lewandowskiej. Paragraf czwarty rozdziału pierwszego, pt. „W strefie cudzej wojny (24 czerwca 1941–13 lipca 1944 r.)”, poświęcony jest Wilnu i wilnianom podczas okupacji niemieckiej. Podobnie jak w wypadku opisywania zawładnięcia miastem przez Armię Czerwoną we wrześniu 1939 r., Autorka i tym razem wydłużyła czas zajmowania miasta przez Wehrmacht ponad to, co działo się naprawdę, chociaż tym razem tylko o kilka godzin. W rękach Niemców miasto znalazło się już rankiem 24 VI 1941, a nie dopiero „w godzinach popołudniowych”. O 10 rano na Placu Katedralnym przy dzwonnicy stały niemieckie samochody wojskowe, a ich pasażerowie i kierowcy byli zajęci poranną toaletą. Na Placu Łukiskim wzięci do niewoli sowieccy wojskowi siedzieli na ziemi w cieniu drzew pilnowani przez żołnierzy Wehrmachtu. Na frontonie gmachu przedwojennego Sądu Wojewódzkiego, dotąd siedziby NKWD–NKGB, dwaj robotnicy strącali pięcioramienną czerwoną gwiazdę, patrolującą do poprzedniego dnia miasto z woli sowieckiej władzy. Ulicą Wileńską ku Zielonemu Mostowi jeden za drugim pęły czołgi korpusu pancernego Hotha, witane entuzjastycznie przez

Litwinów, jeszcze wczoraj sowieckich urzędników. W porze obiadu restauracja hotelu George'a pękała w szwach — wszystkie stoliki obsiedli oficerowie Wehrmachtu, zwabieni famą o bogatych w wina piwnicach tego lokalu. Wilnianie mieli świadomość, że „to też nasi wrogowie”, ale zarazem odczuwali ulgę, że zrzędzeniem losu dzięki tym Niemcom uniknęli najgorszego — ich, którzy zostali w mieście, nie deportowano w głąb ZSRR. A co będzie dalej? W takim momencie każdy zmartwienie odkładał na przyszłość; przecież ta nie od niego zależała. Zabawny epizod, jaki zdarzył się tego przedpołudnia: ktoś słuchał radia Moskwa, które nadało wiadomość, że Armia Czerwona odparła zdradziecką napaść Niemców i toczy już walki w granicach Prus Wschodnich. Prowizorycznie założone drogowskazy niemieckie wskazywały jako kierunek marszu Mińsk.

W czerwcu 1941 r. Wilno było bombardowane, ale walk o miasto nie staczano. Jedynie w poniedziałek 23 czerwca, w godzinach prawie wieczornych, ale jeszcze przy dziennym świetle, Litwini zaatakowali sowieckich żołnierzy, których w mieście pozostało niewiele; było to powstanie zbrojne LAF-u (Lietuviu Aktyvistu Frontas), o którym Lewandowska wzmiankuje na s. 57. Na większą skalę rozegrało się ono w Kownie. W Wilnie na pewno udało się tym powstańcom wciągnąć flagę narodową na basztę Gedymina. Natomiast nie zasługuje na zaufanie informacja zaczerpnięta przez Lewandowską ze wspomnień Aleksandra Maliszewskiego o „całonocnym” boju (której nocy? może z 23 na 24?) o gmach biblioteki Wróblewskich na rogu Arsenalskiej i Zygmuntońskiej nad Wilią. U Lewandowskiej mowa jest o ostrzeliwaniu budynku z armat. Czyje to miały być armaty — Litwinów z LAF-u czy Wehrmachtu? Rankiem 24 czerwca do Wilna wjechały szybkie jednostki Wehrmachtu nie obciążone armatami. Gdyby rzeczywiście do budynku tego strzelano z armat, to musiałyby wyglądać jak gmach Poczty Polskiej w Gdańsku, którego zdjęcia po walkach z jej obrotami w dniu 1 IX 1939 dobrze są znane. Dosłownie nikt — ani sąsiedzi, ani przechodnie — nie oglądali na sylwetce tego budynku ani wyłomów, ani gruzów na ulicy, ani ruin.

Lewandowska pisze, że chociaż Niemcy wraz z wkroczeniem do Wilna nie przedsięwzięli akcji represyjnych wobec ludności, to Litwini aresztowali pewną liczbę osób. Być może. Jednak przede wszystkim byli oni zaabsorbowani przechwyceniem mienia porzuconego przez Sowieców w zajmowanych przez nich mieszkaniach. Niemcy nie mieli spenetrowanego policyjnie Wilna, lecz mając do pomocy Litwinów z saugumy, mogli to opóźnienie szybko nadrobić w następnych tygodniach. Jednak do końca swojej okupacji nie zastosowali wobec wilnian represji na miarę tego, czego doświadczyli mieszkańcy Warszawy, co nie znaczy, że nie było aresztowań i egzekucji; pisze o tym wystarczająco w swej książce Lewandowska. Mimo wszystko warunki polskiego egzystowania w Wilnie były znośniejsze niż w Generalnej Guberni.

Wilnianie nie przykładali większych wysiłków do przestrzegania wymogów konspiracji, co przeważnie uchodziło im bezkarnie. Na przykład komplety szkolne zbierały się niemal jawnie i demonstracyjnie. Znany mi komplet szczebla klas gimnazjalnych, prowadzony przez znakomitego nauczyciela byłego gimnazjum jezuitów, Leona Sienkiewicza, zbierał się w roku szkolnym 1942–1943 zawsze w tym samym mieszkaniu prywatnym, w tych samych godzinach i dniach. W następnym roku w imię ostrożności zbierano się w wyznaczonych dniach i porach, za każdym razem u innego z uczestników, ale i takie maskowanie nic by nie pomogło: wytropienie posiedzeń kompletu powinno być nawet dla tępawego agenta policyjnego dziecinnie łatwe. Dodam jeszcze: w mieście czynnych było kilka polskich księgarni, w tym jedna w lokalu oficyny Zawadzkiego na ul. Zamkowej. Dysponowała ona nie używanymi egzemplarzami najważniejszych podręczników przedwojennej szkoły. Było więc z czego się uczyć. Okupant srożył się, lecz chyba głównie pro forma, bo do akcji represyjnych w stosunku do podziemnego szkolnictwa polskiego jakoś się nie kwapił.

W Ostlandzie i w samym Wilnie Niemcy dysponowali zbyt szczupłymi siłami, których nie starczało im na stosowanie długofalowego kursu twardych represji. Ich słabość jeszcze lepiej widoczna była na wsi, w sąsiednim komisariacie generalnym „Białoruś”. W 1942 r. blisko zachodniej ściany Puszczy Nalibockiej Niemcy rozlokowali z rzadka posterunki żołnierzy Wehrmachtu uzbrojonych w karabiny mauzer; środkami poruszania się w terenie w celu „tropienia partyzantów” były rowery. W pobliżu stacji kolejowej włóczyli się ponadto żołnierze z transportów zatrzymanych na dłuższy postój — chodzili po wsiach i dworach wyprasząc „jajki, kury, masła”. Ten stan rzeczy zaczął się zmieniać dopiero w 1943 r., kiedy pojawiły się większe zgrupowania sowieckiej partyzantki i Armia Krajowa. W samym Wilnie w grę wchodził dodatkowo ten fakt, że Niemcy często nie

chcieli zbyt folgować Litwinom, a w konsekwencji tolerowali różne przejawy polskości wilnian zapewne jako przeciwwagę dla nich, o czym Lewandowska też wzmiankuje.

Z drugiej strony jakby łagodniejszy, niż by mógł być, kurs niemieckiej polityki miał ten skutek, że szeregowie masy ludności nie były doprowadzone do desperacji i nie dyszały pragnieniem odwetu na Niemcach. Wilnianie pozostawali głusi na wezwania polskiego podziemia, żeby nie uczęszczać do kin na niemieckie filmy; publiczność szturmowała kasy kina „Helios” na ulicy Wileńskiej, gdy wyświetlano tam i to przez wiele tygodni szlagiery UFY: „Die goldene Stadt” (o „urdeutsche Stadt Prag”) i „Baron Münchhausen”. Aresztowania i egzekucje w Ponarach objęły głównie inteligencję i konspiratorów.

Martyrologii wileńskiej konspiracji Lewandowska poświęciła całe paragrafy w rozdziale trzecim, sporo też pisze o martyrologii polskiego Kościoła Katolickiego w Wilnie. W moim odczuciu pewne sformułowania tekstu w tych miejscach idą zbyt daleko w stosunku do tego, co się działo. Lewandowska pisze aż o „zlikwidowaniu polskiej organizacji kościelnej” i o „zamknięciu polskich księży i zakonników w obozach pracy” (s. 64–68). Jednym ciągiem wymienione są represje NKWD za drugiej okupacji sowieckiej i gestapo za niemieckiej; czytelnik gotów jest pomyśleć, że już w połowie 1942 r. w Wilnie nie było polskiego duchowieństwa, zaś kościoły znajdowały się w rękach Kościoła litewskiego. W rzeczywistości, chociaż z uszczuplonymi kadrami, Kościół polski trwał aż do czasu ekspatriacji z Wilna za trzeciej sowieckiej okupacji (1945–1946). W regionie, gdzie jego pozycje były mocne chyba do czasów kontrreformacji, wzmocnił się jeszcze bardziej.

Wiosną 1944 r. tętno życia religijnego wilnian biło bardzo mocno. W Wielką Sobotę w katedrze świętego Stanisława odbyła się polska rezurekcja z tłumnym udziałem wiernych; w niedziele kościoły podczas nabożeństw były przepełnione. Ludzie, chociaż przeżyli w ostatnich latach koszmary okupacyjne, jakby przeczuwali, że zbliżają się czasy jeszcze gorsze. To popychało wilnian ku sobie, a miejscem ich konsolidacji stawały się przede wszystkim kościoły. Do kilkunastu w mieście dodać by należało w odniesieniu do czerwca–lipca 1944 roku jeszcze jeden — w Kalwarii Jerozolimskiej; w okolicznych osadach, m.in. w Werkach u stóp góry z pałacem biskupów wileńskich, pojawili się jako letnicy wcale liczni mieszkańcy Wilna; do kościoła uczęszczali właśnie do Kalwarii.

Wilnianie przeżywali też przyptywy nadziei, jak w maju, gdy do miasta doszły wieści o zdobyciu przez Polaków Monte Cassino. Ich nastawienie, swoisty stan pewnego zdesperowania dobrze ilustruje stosunek do pieniądza. Wyjaśnienia Lewandowskiej w tej monetarnej materii są niestety niejasne i niepełne (s. 94, 122, 244). Autorka nie wzmiankuje zupełnie o Ostmarkach i o dopuszczeniu przez Niemców od początku do obiegu pozostałych po okupacji sowieckiej rubli po kursie 1 OM = 10 rb. Mówi za to o Reichsmarkach (RM), którymi w Ostlandzie nie można było się posługiwać. W przekonaniu, że ruble nigdy już nie będą im potrzebne i nie chcąc ich oglądać na oczy, wilnianie wyzbywali się sowieckich banknotów. Ogólne zdziwienie wywołał człowiek, który bez wahania wykupywał ruble za Ostmarki. Miano go za wariata i pukano się w czoło, on jednak tym się nie przejmował. Kiedy w lipcu 1944 r. Sowietci wrócili i ruble stały się jedynym środkiem płatniczym bez żadnej wymiany banknotów, Ostmarki kazano zdać bez jakiegokolwiek rekompensaty za nie. W jednej chwili ludzie potracili wszystko, co mieli w pieniądzu, zaś ów wyśmiewany i poczytywany za psychicznie chorego człowiek odczuwał zapewne satysfakcję. W całym mieście on jeden miał rację.

Książka Lewandowskiej ożywia wspomnienia i skłania do opowiadania o losach wojennych Wilna i jego mieszkańców. Autorka już na początku dzieła usposabia czytelnika do niego przychylnie, gdy pisze: „w ostatnich latach przed II wojną światową znaczenie Wilna jako nowo tworzącego się terenu handlowo–przemysłowego znów systematycznie rosło” (s. 72). Jakież kontrast z tymi wspominkami ludzi, co zaglądnęli do Wilna na krótko lub nieco dłużej, a potem urabiali miastu opinię, że jest zapyziałą dziurą garnizonowo–urzędniczą, pozbawioną perspektyw rozwojowych ani nie umywającą się do świetności Warszawy lub Lwowa. Lata trzydzieste to jednak nie czasy Litwy Środkowej, o której okoliczny szlagon, goszczący Melchiora Wańkowicza opowiadał: „Zrobili w Wilni wystawa rolnicza. Pojechawszy ja co widza? Parsiuk mój, kura sąsiada, ot ciabie i cała twoja wystawa rolnicza”. Lecz przy całej swej życzliwości dla przedwojennego Wilna Stanisława Lewandowska bez złośliwej intencji dodała obrazek, który nie przydałby miastu splendoru, gdyby był prawdziwy. Należy tu przypomnieć, że wkraczający w dniu 28 października Litwini zastali miasto w stanie, jaki był

rezultatem dziewiętnastoletnich polskich rządów. „Na pełnej kałuż i błota ul. Mickiewicza odbywała się defilada” — pisze Autorka (s. 29). W rzeczywistości kałuż i błota nie było już tam od dłuższego czasu, gdyż na rok lub dwa przed wybuchem wojny całą jezdnię od Placu Katedralnego do Łukiskiego wyłożono kostką bazaltową. Wyglądało to nad wyraz elegancko, ale nie tylko drogo miasto kosztowało. Na takiej jezdni w dniach 3 maja i 11 listopada każdego roku trudno było defilować polskiej kawalerii: podkute ostro konie ślizgały się i przewracały razem z jeźdźcami, co nie upiększało parady.

Chciałoby się podpowiedzieć Autorce przeróżne epizody z czasów wojny na użytek ewentualnego przygotowania innej książki o Wilnie. Choćby za Litwinów — coniedzielne wieczorne capstrzyki na Placu Katedralnym pod dzwonnica i z trębaczem hejnalistą na baszcie Gedymina. Orkiestra kawalerii litewskiej grała hymn narodowy („Lietuva, tevyne musu” Vincasa Wincentego Kudirki), a po nim „kobyłkę”, skoczny marsz kawaleryjski, w rytm którego szwadron formował kolumnę i odjeżdżał do koszar. Złośliwcy wileńscy nazwali to wszystko „kobyłką”, w czym był także jadowity podtekst — przytyk do Pogoni w litewskim herbie. Nie chciano pamiętać, że ongiś Pogoń obok Orła Białego widniała w herbie i na sztandarze wspólnego państwa.

Scena z pierwszej sowieckiej okupacji: ulicami miasta, także po bazaltowej kostce na Mickiewicza, pędzi z łoskotem ciężki czołg KW z kilkosobową załogą. Lewandowska przypomina w książce, że po 17 września nikt już nie mówił o sowieckich czołgach, iż są z tektury. Nagle silnik zatkał się i czołg stanął: to gąsienica wypięła się, może nawet na Armię Czerwoną, i leży na jezdni kilkadziesiąt metrów za czołgiem. Bojcy–tankiści, klnąc w żywy kamień, gramolą się ze swego kolosa, po czym wloką ją w rękach ku czołgowi, naciągają na rolki i koła, zamocowują bolcami. Trwa to godzinę, nawet dłużej. Zdarzało się to często, toteż nimb potęgi, jaki po doświadczeniach września 1939 r. otaczał Armię Czerwoną, szybko i bezpowrotnie przysnął. Chępiła się swoimi czołgami, demonstrowała je wilnianom, a oni sami zobaczyli, że to kupa żelastwa i szmelc.

Za niemieckiej okupacji litewski magistrat organizował letnie kolonie w Leoniszkach — w lesistym terenie na wschód od miasta zaledwie o parę kilometrów. Na każdym dwutygodniowym turnusie było nieco miejsc, które przydzielano dzieciom rdzennych polskojęzycznych wilnian. Miały one dobre jak na warunki wojenne wyżywienie i przyzwoitą opiekę wychowawczą personelu litewskiego. Względem rówieśników litewskich trzymały się osobno. Musiały jednak, również te, które jednoznacznie poczuwały się do związku z Polską, uczestniczyć w apelach. Podczas porannych — wciągano na maszty dwie flagi narodową litewską i III Rzeszy ze swastyką, podczas wieczornych zdejmowano je.

W książce nie ma ani słowa o życiu sportowym za okupacji niemieckiej i sowieckiej, a zwłaszcza piłce nożnej i boksie. W litewskich drużynach występowali także zawodnicy — Polacy.

Zlituanizowany uniwersytet wileński był niedostępny dla polskich profesorów z Wilna. Wszakże w 1941 r. za drugiej okupacji sowieckiej Uniwersytet Witolda w Kownie zaprosił polskiego uczonego bawiącego w Wilnie w charakterze uchodźcy wojennego na wykłady, co wymagało dojazdów koleją.

W opracowaniu Lewandowskiej brakuje charakterystyki warunków bytowych za ostatniej sowieckiej okupacji, a był to najcięższy i najważniejszy okres niedoli wojennej mieszkańców Wilna. Oto bowiem bez plebiscytu, bez wnikania w problemy regionu zwycięskie mocarstwa rozwiązały ostatecznie kwestię polskiej obecności w Wilnie. Wilnianie byli jego rdzennymi mieszkańcami, z dziada pradziada. To oni byli nosicielami autentycznej tradycji regionu. Jeżeli mieli coś na własność, to albo w tym mieście, albo gdzieś na Wileńszczyźnie. Jedyne, co Stalin i jego NKGB mieli im do zaoferowania, to domniemana, nigdy nie potwierdzona słowem rezygnacja z deportowania ich w głąb ZSRR w zamian za wyjazd na zawsze do Polski Lubelskiej. Tylko tak mogli wynieść z tego cało głowy, chociaż tracili resztę mienia i na pastwę losu, a raczej na łup Sowietarzy rzucali dorobek przodków. Sugerowane im rekompensaty na Ziemiach Odzyskanych były iluzoryczne i do dzisiaj wielu z nich niczego nie otrzymało.

Wielkie zwycięskie mocarstwa załatwiły tę sprawę w gruncie rzeczy po myśli tych Litwinów, którzy za niemieckiej okupacji, jak pisze Lewandowska, przechwalali się: „Za bolszewików pozbyliśmy się połowy Polaków, teraz pozbedziemy się pozostałych”. Kolaborowali z Niemcami i z nimi uciekli. Dzięki temu, na szczęście dla wilnian, nie było im dane zaznać satysfakcji, jaką mieliby, będąc

świadkami wypierania z Wilna i Kraju Wileńskiego rdzennych mieszkańców przez Sowietów dokonywanego z całą obłudą, że to ich „powrót do ojczyzny”, by to miasto i całą Litwę mieć dla siebie.

W tekście jest nieco błędów i lapsusów skutkiem niewystarczającej znajomości sowieckich pojęć w języku rosyjskim.

Czerwoniec — to nie jest inny rodzaj rubla. Słowo to, przyswojone z polskiego „czerwony złoty”, ongiś oznaczało monetę kruszczową (dukat i inne). Wprowadzony w ZSRR w 1922 r., niemal zaraz po zarzuceniu polityki tzw. komunizmu wojennego, był w zamyśle nowym pieniądzem tego państwa. Miał obsługiwać sowiecką gospodarkę pobudzaną teraz przez bodźce rynkowe i obcy kapitał dopuszczony na obszar ZSRR w formie koncesji. Był to pieniądz gwarantowany przez państwo i zgodnie z deklaracjami rządu sowieckiego wymierny na ruble w złocie w stosunku 1 do 10. Mennica sowiecka nawet wybiła pewną liczbę takich monet. Jednocześnie bank państwa emitował czerwonce jako papierowe banknoty, a w celu podtrzymywania jego stałej wartości na rynku wewnętrznym emitowano papierowe ruble, ale jako płatnicze znaki skarbu państwa; robił to nie bank, lecz komisariat finansów. Do obiegu ruble wprowadzał ten sam bank, który wprowadzał czerwonce. Odmienne jednak wartość rubla jako krótkoterminowego zobowiązania nie była ani zagwarantowana, ani zabezpieczona. Ruble służyły do emisji interwencyjnych na pokrycie deficytu budżetowego i w celu zapobieżenia inflacji. W życiu obywateli ZSRR większe znaczenie miał rubel, którym mogli oni regulować swoje powszednie drobne płatności. Czerwonce służyły bowiem do dużych transakcji i operacji kredytowych banku. Wraz z przejściem do gospodarki planowej po 1925 r. czerwonce zaczęły tracić swoją rolę także skutkiem eliminowania z gospodarki ZSRR koncesji dla kapitałów zagranicznych. Stały się pieniądzem planowanym i regulowanym przez bank państwa, odpowiednio do polityki sowieckiej biurokracji. Już przed drugą wojną światową były w praktyce tylko banknotami o wyższych nominałach. Ostatecznie poniechano ich emitowania po wojnie, gdy w 1947 r. bank państwa przejął emisję rubla jako jedyne pieniądze ZSRR.

W cytowanych fragmentach artykułów z polskojęzycznej gadzinówki „Prawda Wileńska” czytelnik natyka się na nieudolne spolszczenie sowieckich terminów i pojęć, których Autorka nie wyjaśnia. Mowa jest o „dowódcach Armii Czerwonej” i „o ogródkach dziecięcych” (s. 126), o „pasportach”, spotykamy też rosyjskie słowo „progul” (s. 135). W przypadku „dowódców” chodzi o komenderujących na wszystkich szczeblach dowodzenia w Armii Czerwonej: od plutonu i kompanii wwyż. Należałoby termin ten tłumaczyć jako „oficerowie”. Wszakże do 1943 r. słowo to było tam synonimem białogwardyjskiego kontrrewolucjonisty, a więc wroga państwa sowieckiego; podobnie za obraźliwe uchodziło słowo „soldat”, toteż szeregowców nazywano „bojec”. Być może więc „dowódców Armii Czerwonej” powinno się przekładać na polskie „komendaci”, czyli słowo, które podczas I wojny światowej funkcjonowało w Legionach Polskich? Tam także przypadek ten miał wyraźny podtekst ideologiczny.

„Ogródki dziecięce” to tzw. kalka przekładowa z rosyjskiego „dietskije sady”, po polsku — przedszkola. Sowiecki „pasport” (lit. „passas”) nie oznacza dokumentu niezbędnego do przekroczenia granicy państwa, lecz polski „dowód osobisty”. „Progul” to nie „przestępstwo porządkowe”, jak sugeruje Autorka, ponieważ od lat pięćdziesiątych ma swój polski odpowiednik „bumelka”. Należy też wskazać na kilka nieporozumień faktograficznych. Przysłany w czerwcu 1940 r. na Litwę Władimir Dekanozow (jak Andrej Żdanow do Estonii i Andriej Wyszyński na Łotwę) był komisarzem pełnomocnym rządu sowieckiego (faktycznie — do aneksji Litwy), a nie komisarzem ludowym (ros. „narodnyj komissar” to odpowiednik polskiego terminu „minister”). W dniu 28 XII 1939 w ZSRR nie obradował żaden zjazd WKP(b), jak nazywała się wtedy w skrócie KPZR (s. 135). Nieporozumieniami są też takie fragmenty: podziemie polskie na Wileńszczyźnie „pod administracją sowiecką na wiosnę 1942 r.” (s. 228); przejmowanie polskich szkół w Wilnie władze litewskie zaczęły „od 25 września 1939 roku” (s. 259); zawiązywanie się grup konspiracyjnych o charakterze wojskowym „w ramach stronnictw młodzieżowych” (s. 217).

Pragnę uzupełnić swoje uwagi przywołując ważny moment w wojennych dziejach Wilna, a mianowicie: przedpołudniowe godziny 14 VII 1944. Dostrzegli go tylko ci spośród mieszkańców Wilna, którzy ośmielili się wówczas wrócić do miasta i chodzili jego ulicami. Większość mieszkańców opuściła miasto przed rozpoczęciem walk. Moment ten uszedł ich uwadze i nie jest odnotowany przez pamiętnikarzy.

Walki o miasto ustały poprzedniego wieczoru. Po Niemcach i ścigających ich sowieckich dywizjach pozostały tylko leżące na chodnikach i skwerach albo unoszące się na wodzie Wilii liczne trupy żołnierzy. A poza tym, chociaż bardzo zniszczone w toku kilkudniowych walk, z chodnikami pokrytymi rozbitym szkłem, Wilno znów było tylko polskie. Zamiast cywilów na ulicach wszędzie kręcili się AK-owcy, dający się rozpoznać dzięki biało-czerwonym opaskom na ramionach, ubrani przeważnie w mundury Wehrmachtu, zdobyte w porzuconych przez Niemców magazynach wojskowych. Rozpoznawało się ich też po nie dającym się podrobić polskim szyku, jakiego zadawali. Przy Kalwaryjskiej vis à vis cerkwi obiekt sztabowy strzeżony przez polskie warty, a przed nim samochód opancerzony — pewnie zdobyczny.

Taki sam nastrój przeżywali, jak wolno się domyślać, warszawscy powstańcy w pierwszych dniach po godzinie „W”. To nastrój 11 i 12 księgi *Pana Tadeusza*, najwznioślejsze polskie chwile po wrześniu 1939 r. Ta wolność w tamym momencie nie była złudzeniem, jednak dana została wilnianom tylko na parę godzin. Już w południe (a nie dopiero 16 lipca, s. 325) wysłany przez Berię Iwan Sierow przystąpił do uniemożliwiania AK-owcom poruszania się po mieście, do rozbijania pojedynczych żołnierzy i do poszukiwania polskich magazynów broni. Tak to 14 lipca 1944 r. nie stał się dla wilnian ich quatorze juillet. Lecz smak i zapach tamtych kilku godzin utrwalił się w pamięci, żeby w PRL powrócić po latach dwukrotnie: w dniach Października 1956 r. i za Solidarności w latach 1980–1981.

Dzieje polskiego Wilna w latach drugiej wojny światowej to istotny fragment historii Polski. Książka Stanisławy Lewandowskiej jest dziełem pionierskim jako ambitna próba ujęcia całości ich problematyki. Powinna się przyczynić do napisania przez innych autorów następnych studiów tego tematu. Z myślą o nich pozwoliłem sobie na poczynienie sprostowań i uzupełnień o to, co zachowało się w pamięci, gdyż wielu tych obrazów i sytuacji żadna dostępna w archiwach dokumentacja chyba nie odzwierciedla.

* * *